

JAN HÖFLINGER

we Lwowie Główny skład: ulica Teatralna 1. 8.
Filia: ulica Kopernika 2.

Wyrabia najlepsze HERBATNIKI
i Nowość: BIAŁĄ CZEKOLADĘ

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Leroux.

(Ciąg dalszy).

Zadania swoje dawał do roboty kolegom, jak się daje ordynarną pracę służącemu, przedtem jednak wskazywał im sposób rozwiązania. Nie znając jeszcze podstaw algebry, wynalazł dla swego osobistego użytku nową algebrę, ze znakami podobnymi do pisma klinowego, zapomocą których rozwijał swe wnioski matematyczne i wyprowadzał formuły zrozumiałe tylko dla siebie. Profesor porównywał go z dumą do Pascala, gdy znalazł sam w geometrii rozwiązanie pierwszych zasad Euklidesa. Tą zdolnością rozumowania kierował się i w życiu codziennym: tak pod względem materialnym jak i moralnym, to znaczy, gdy w kolegium zdarzyło się coś, jakiś skandal, denuncyacja, plotka, odkrywał zaraz winowajcę na podstawie tylko własnej obserwacji. Również pod względem materialnym nie było dla niego nic łatwiejszego, jak odszukać przedmiot schowany, zgubiony lub skradziony... W takich wypadkach okazywał cudowną wynalazczość, jakby natura, dając mu za ojca złego geniusza kradzieży, chciała w nim wzbudzić dobrego geniusza okradzionych.

Ta dziwna zdolność, która wyrobiła mu w zakładzie pewne poważanie, stała się dla niego w następstwie fatalną. Odkrył w niezwykły sposób małą sumę pieniędzy skradzioną dyrektorowi, nikt jednak nie chciał wierzyć, by dokonał tego dzięki tylko swemu sprytowi. Wydawało się to wszystkim niemożliwym i skończyło się na tem, iż został uznany za złodzieja. Żądano, by przyznał się do winy, broń się jednak z niezwykłą energią, co jednak spowodowało na niego surową karę. Przeprowadzono śledztwo, w którym Józef Josephin z nikczemnością zwykłą u dzieci został oskarżony przez swych kolegów. Zaczęli się skarżyć, iż ginęły im książki, zszły, różne przedmioty szkolne i obwiniali o to jego. Fakt, iż nie znano jego rodziców i nie wiadano „skąd przychodzi“, było poczytane w tym małym światku za najcięższą winę. Nazywano go złodziejem, bił się o to, lecz rzadko zwyciężał, nie miał bowiem wiele sił. Był zrozpaczony, chciał umierać. Dyrektor, najlepszy zresztą człowiek, przekonany o jego winie, chcąc wymócić na nim przyznanie się, zagroził, iż go nie będzie trzymał w kolegium i napisze do pani Dartel — takie podała swe nazwisko — by go zabrała. Dziecko nie nie odpowiedziało, na drugi dzień jednak na próżno go szukano. Uciekł. Po rozprawie doszedł do przekonania, iż jeżeli nawet dobry dyrektor oskarża go o to, to znaczy, że wierzy w jego winę, a w takim razie i dama w czerni, może uwierzyć, iż on ukradł. Uchodźć za złodzieja wobec niej, lepiej umrzeć! I uciekł w nocy przez mur ogrodowy. Pobiegł od razu do kanału i rzucił się do wody, zapomniał jednak, iż na szczęście umiał pływać.

Nie wiedząc jeszcze, że jest synem Larsana, Rouletabille nie mógł myśleć bez rozdarcia serca, że dama w czerni może go uważać za złodzieja, gdy zaś przekonał się kto jest jego ojcem, jakąż rozpacz ogarnęła nim! Matka jego dowiadując się o winie swego dziecka, mogła pomyśleć, że złe instynkty ojca odbiły się w nim i może ucieszyła się z jego śmierci!

Uchodźć za umarłego. Znalezione ślady jego ucieczki aż do kanału i wyłowiono jego beret. Jak on jednak żył? W najprostszym sposobie. Po wydobyciu się z tej kąpieli, zdecydowany uciekać z tych stron, chłopiec ten, którego wszędzie szukano, wynalazł sobie oryginalny sposób, by przebyć całą okolicę bez zwracania na siebie uwagi. Wnioskował jak zawsze. Znał historie najrozmaitsze, w których opowiadało, jak mali uciekinierzy z domu rodzicielskiego szli zawsze nocą, w dzień zaś spali w zbożu lub w lasach, wkrótce jednak byli odprowadzani z powrotem przez żandarmów, gdyż nie mieli co jeść i wskutek tego sił do drogi. Rouletabille spał jak wszyscy w nocy i siedł po dniu, nie skrywając się przed nikim. Po wysuszeniu jednak swoich rze-

czy, porwał je i poniszczył, wybrudził się cały i udawał małego, żebraka prosząc z płaczem o jałmużnę. mówiąc, iż rodzice go zbijają, jeżeli nie przyniesie do domu. Brano go za małe cyganiątko z oboków cygańskich, jakie przeciągały w tamtych stronach. Był to czas poziomek: zbierał je w lasach i sprzedawał w małych koszykach splecionych z liści. Wyznał mi, że gdyby nie ciągły ból, iż dama w czerni może go posądzać o kradzież, byłby to najszczęśliwszy okres w jego życiu. Spryt jego i odwaga były mu najlepszymi opiekunami w drodze, która trwała miesiące. Dokąd szedł? Do Marsylii! Było to jego pragnienie.

W opisach podróży widział widoki Południa i zawsze myślał o nich z zachwytem. Żyjąc jak cygańskie dziecko, spotkał się z taborem cygańskim, który jechał tą samą drogą, co i on, na elekcyję cygańskiego króla. Wyświadczył im kilka usług, umiał się spodobać, a ludzie ci, którzy nie lubią okazywać swoich papierów, nie zatroszczyli się o jego dokumenty. Sądziło, że chłopiec z powodu złego traktowania uciekł z jakiej trupy linoskoczków i wzięli go z sobą. Tak dostał się na Południe, do Marsylii. Tam był dla niego raj, wieczne lato i... port. Tam żył, stamtąd czerpał swe pożywienie. Stał się „poławiaczem pomarańczy“. Pracując w tym zyskownym zawodzie, poznał się pewnego ranka w przystani z dziennikarzem paryskim, panem Gastonem Leroux i znajomość ta wywarła na niego taki wpływ, iż muszę przytoczyć artykuł, w którym redaktor *Matin'a* opisał to spotkanie:

„Mały poławiacz pomarańczy“.

„Gdy słońce, przebijając się zwolna przez zachmurzone niebo, oświeciło wreszcie swymi promieniami złotą sukienkę Notre-Dame-de-la-Garde, zszedłem do przystani. Wielkie płyty kamienne szklity się jeszcze wodą, w której można się było przejrzeć. Gromady marynarzy, tragarzy i robotników portowych krzątały się koło olbrzymich belek przywiezionych z Północy, toczyły je na blokach, ciągnąc linami okrętowymi. Ostry wiatr, wiejący z morza, wdierał się podstępnie między wieże świętego Jana i fort świętego Mikołaja, wstrząsając falami wód w starym porcie. Bok przy boku, stykając się końcami, stały rzędy barek, kłaniając się sobie białymi żaglami. Przy nich zmęczone odległymi podróżami, znużone praniem wód nieznanymi morskimi, wynurzały się z powierzchni głębokie kadłuby okrętów, wznosząc się ku niebu nieruchomymi masztami. Wzrok mój poprzez las powietrzny rei podążył aż do wieży, która świadczy, że przed dwudziestu pięciu wiekami dzieci starożytnej Feocyi zarzucały kotwicę na tym brzegu szczęśliwym. Podziwiając roztaczającą się przedemną panoramę morską, ujrzałem nagle przy sobie małego poławiacza pomarańczy.“

Stał ubrany w resztki jakiegoś zakietu, który połamiał bił go po plecach, z gołymi nogami i głową o blond włosach i czarnych oczach. Na sznurku przewieszonym przez ramię wisiała mu z boku płócienna torba. Lewą ręką podparł się o biodro, w prawej trzymał wielki kij, trzy razy dłuższy, niż on, zakończony małym żelaznym ostrzem. Chłopiec stał nieruchomo, zapatrzone przed siebie. Zapytałem go, co tu czyni. Odpowiedział mi, że jest poławiaczem pomarańczy.

Wydał się bardzo dumny ze swego zajęcia i nie pomyślał nawet, by poprosić o kilka susów, jak to czynią chłopcy w porcie. Odezwałem się jeszcze do niego, nie raczył mi jednak odpowiedzieć, zajęty przypatrywaniem się wodzie. Staliśmy między dwoma trójmasztowcami przybyłymi z Genui i Castellamare. Dalej dwa statki, przybyłe rano z wysp Balearskich, piętrzyły się stosami pomarańczy, z których nie jedna stoczyła się do wody; fale pędziły je do nas. Mój poławiacz skoczył do małej łódki, stanął na jej przodzie, pełen oczekiwania. Wreszcie zaczął je łowić. Na kij swój chwycił zresztą pomarańczę, jedną, dwie, trzy, cztery. Ginęły w jego torbie. Złapał

jeszcze piątą i wyskoczył na brzeg. Rozerwał złoty owoc i zanurzył w nim swój mały pyszczek.

— Dobrego apetytu! — rzekłem.

— Wie pan — odpowiedział mi zamazany cały sokiem — ja lubię tylko owoce!

— Bardzo pięknie, a jak niema pomarańczy?

— Pracuję w węglu.

Zapukał swą drobną ręką do torby i wyjął z niej kawałek węgla.

Sok pomarańczy pociekł mu po zakiecie. Ubranie to miało z wierzchu kieszeń. Wyjął z niej coś w rodzaju chustki i starannie wytarł zakiet, potem z pewną dumą schował chustkę z powrotem.

— Co robi twój ojciec? — zapytałem.

— Jest biedny.

— Tak, lecz co robi?

Poławiacz pomarańczy wzruszył ramionami.

— Nic nie robi, ponieważ jest biedny.

Moje zapytania nie bardzo mu się spodobaly.

Poszedł wzdłuż portu, podążyłem za nim: doszliśmy tak do „strażnicy“, małego ogrodzenia, gdzie mieściły się prywatne jachty wycieczkowe. Chłopiec mój przypatrywał im się okiem znawcy, znajdując żywą przyjemność w ich oglądaniu. Mała zgrabna barka o czystym nieposzlakowanym żaglu, lśniącem się w słońcu, podpłynęła do brzegu.

— Oto ładne cacko! — zauważył mój towarzysz.

Nagle wstąpił nieostroźnie do kałuży i zachlapał sobie zakiet, o który, jak zauważyłem, dbał ponad wszystko. Co za nieszczęście! Omal się nie rozpląkał. Szybko wyjął chustkę i wycierał, wycierał, potem rzekł błagalnie:

— Panie, ja nie jestem z tyłu powalany?

Dalem mu na to słowo honoru. Wtedy, ufając mi, schował chustkę do kieszeni, wytrzepawszy ją z kurzu.

O kilka kroków stąd, na ulicy, wzdłuż czerwonych, złotych, niebieskich domów przepukki sprzedawały na rozstawionych stołach morskie ślimaki.

Gdyśmy przybyli do tych ruchomych restauracji i widząc, że ślimaki są świeże, zaproponowałem poławiaczowi pomarańczy:

— Chociaż lubisz tylko owoce, może zjesz jednak z tuzin ślimaków.

Czarne jego oczy zaświeciły się, siedliśmy do stołu. Przekupka otwierała je nam podając do nich oet, towarzyszył mój jednak wstrzymał ją wspaniałym ruchem ręki i szybko wyciągnął z swej torby cytrynę, powalając węglem. Wytarł ją, przeciął na połowę i ofiarował mi jedną z uprzejmym gestem.

Po śniadaniu tem wróciliśmy znowu do przystani. Poprosił mnie o papierosa, którego zapalił własną zapalką. Potem, trzymając papierosa w ustach i puszczając wielkie kłęby dymu, stanął z hardą miną nad wodą w pozycji, w jakiej znajduje się sławny chłopiec, najpiękniejsza ozdoba Brukseli.

Gaston Leroux.

Na drugi dzień Józef Josephin spotkał znowu w porcie Gastona Leroux, który trzymał w ręku dzienniki. Chłopiec przeczytał artykuł i dziennikarz dał mu nowe pięć franków. Rouletabille przyjął je bez wahania. Uznał to za zupełne naturalne. „Przyjmuję ten pieniądz — rzekł — jako pański współpracownik“. Za monetę tę kupił sobie skrzynkę z przyborami do czyszczenia obuwia i usadowił się wprost Bregailon. Przez dwa lata zagarniał pod swe szciotki nogi wszystkich, którzy przychodzili do tej restauracji na tradycyjną marsylską zupę z ryb. Między jednym a drugim czyszczeniem siadał na swej skrzynce i czytał. Był ambitnym. Otrzymał zbyt staranne wychowanie i zbyt dobre pierwsze początki, by nie rozumieć, iż musi dokończyć sam tego, co inni zaczęli, by wywalczyć sobie stanowisko w świecie.

(Ciąg dalszy nastąpi).